

„Słońce dla duszy” – Emilia Lachowska kl. VIIIb

Wigilia dnia zadusznego. W powietrzu unosił się zapach mokrego runa i ściółki, jesienny wiatr kołysał wysokie sosny, które szumiały niczym morze. Harmonię lasu zagłuszały tylko niespokojne kroki i przyspieszone oddechy zbliżającej się destrukcji.

- Biegnij! Szybciej! Za raz ich zgubimy - w oddali dało się słyszeć niski zdenerwowany głos.

- Chyba sobie odpuścili - odrzekła dziewczyna, zwalniając bieg.

Oboje zatrzymali się, aby złapać dech w piersi. Pomimo młodych twarzy uciekinierów dało się dostrzec, że nie wiodło im się do tej pory najlepiej. Liczne blizny pokrywające ciała nastolatków świadczyły o ich niełatwym losie. Lekkie ubrania, które mieli na sobie w listopadową pluchę, również nie oznaczały dobrobytu. Ich twarze, choć doświadczone przez życie, w tym momencie promieniały radością zwycięzców.

- Łuu!- wykrzyczał z zadziwiającą energią wciąż zasapany chłopak.

- Co ty robisz!? Jeszcze ktoś cię usłyszy- wyszeptała półgłosem blada dziewczyna.

- Daj spokój Żywia, nikogo nie znajdziesz w tym buszu - odrzekł pobłażliwym głosem. -Udany napad to przecież powód do radości, co z tobą? Daj mi się nacieszyć tą chwilą. Ja Weles i ty Żywia znowu uciekliśmy z rąk tych sadystów. Haha, co ty na to? - nie mógł powstrzymać radości.

- Następnym razem nas zabiją, zobaczysz, ale faktycznie masz rację, akcja przeprowadzona po mistrzowsku - twarz dziewczyny wyraźnie się rozchmurzyła. Usiadła na suchym pinu, aby odpocząć. Weles wyciągnął z kieszeni domniemany łup - złoty zegarek z łańcuszkiem i szklaną tarczą. Ułożenie wskazówek świadczyło o dochodzącej północy.

- Na szczęście niezarysowany, chyba bym ich zastrzelił, jeśli zniszczyliby kolejną moją rzecz. Gdy oboje uspokoili oddechy, wstali i ruszyli wolnym krokiem, napawając się urodą tej choć zimnej i wilgotnej, to wciąż rozgwieżdżonej, pięknej nocy. Nie mogli wrócić tą samą trasą, z obawy na ponowne spotkanie z napastnikiem, musieli iść przed siebie wydeptaną już ścieżką. Las wydawał się bezkresny, pomimo tego, że otaczała go asfaltowa droga, czuło się jak na odległej ziemi, jak na terenie nieskalanym przez ludzką stopę. Harmonię tej chwili pozornej ciszy zakłócała tylko obawa, ale nie był to strach i stres, jaki czuli wcześniej podczas ucieczki, tylko normalne ludzkie odczucie towarzyszące w sytuacji, w jakiej się znaleźli, krocząc nieskończonym sosnowym buszem. Sowy huczały, potęgując nastrój grozy. Weles i Żywia powoli orientowali się, że z każdym krokiem coraz wyraźniej czuć było zapach dymu, a w oddali słyszeć ludzkie głosy. Obok swoich nóg zaczęli zauważać pojedyncze, zniszczone płyty nagrobne. Po chwili napięcia ujrzeli polanę, a na niej cmentarz. W jego centrum znajdowała się kaplica, z której wyleciały dwa aniołki. Wokół budynek rozstawieni byli ludzie skromnie ubrani, najczęściej w długie szaty i kaptury.

- Ciemno wszędzie, głucho wszędzie co to będzie? Co to będzie? - w kółko powtarzali to samo zdanie, niczym chór.

Obok leżało mnóstwo jedzenia i picia. Wszędzie pachniało paloną wódką. Nagle pociemniało, zgasły wszystkie świece. Wiatr ustał całkowicie, z drzew zleciały się ptaki. Przestraszeni Weles i Żywia schowali się wśród sosen, aby podczas oglądania niezrozumiałego incydentu być niewidocznym dla zgromadzonych. Po chwili modlitw i śpiewu pojawił się duch. Miał na sobie długie łańcuchy, z których sypały się iskry, jego twarz zasłaniał czarny kaptur. Konał, nie mogąc wejść do kaplicy, wykrzykiwał imię Boga, przeprasząc za grzechy. Głos ten brzmiał, jak głos tonącego wołającego o pomoc. Przeszywał całe ciało. Żywia i Weles wstrzymywali oddech, oczekując na koniec tego zatrważającego widoku. Prowadzący obrzęd zaczął wypędzać zjawę, która powoli odpuszczała, oddalając się od kaplicy. W pewnym momencie jej spuszczone wzrok skupił się na pozornie niewidocznym chłopaku, znieruchomiały poczuł ciarki na plecach. W czerwonych oczach ducha widać było udręczoną duszę porozrywaną na strzępy, moralnie złą, ale żalującą krzywd, próbującą bezskutecznie wyrwać się z przerażającej powłoki. Poczul, jak życie przelatuje mu przed oczami. Zjawa zniknęła, ale serce nadal biło jak młot, a po policzkach Welesa spływały łzy. Rzucił się do ucieczki. Strwożona Żywia dopiero po chwili wyczuła nieobecność przyjaciela.

- Czekaj! - krzyknęła oraz również rzuciła się w pogoń. Po krótkich poszukiwaniach zastała chłopaka siedzącego pod wielkim, sosnowym pniem, próbującego powstrzymać płacz i dudnienie serca.

- Spokojnie, jestem tu - powiedziała najprzyjaźniej jak mogła. Usiadła obok i ostrożnie położyła dłoń na nodze Welesa. Przerażone brązowe oczy spojrzały w jej stronę.

- Nie patrz na mnie. Wyglądam żałośnie - odrzekł po chwili chlipania wciąż drżącym głosem. Odepchnął lekko jej rękę. Żywia czuła się zmieszana, ale postanowiła nic nie mówić, widziała, w jakim stanie znajduje się jej przyjaciel. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, słuchając trzepotania skrzydeł ptaków i wiejącego ponownie wiatru. Gdy Weles doszedł do siebie, postanowili iść. Dziewczyna wstała pierwsza, więc chciała podać mu rękę, by zrobił to samo, ale chłopak tylko uniknął wzroku Żywii i podniósł się samodzielnie, udając, że jej nie widzi. Znowu poczuła się zignorowana. Drogę przemierzali, nie odzywając się do siebie, ale bez żadnych ekscesów. Kiedy wydostali się z lasu, trafili na asfaltową drogę, z której widać było już miasto. Przez jakiś czas szli wzdłuż niej, ale gdy dotarli do zabudowań, oboje udali się w swoją stronę.

Kiedy zamykał oczy widział tą przerażającą twarz i człowieka uwięzionego w czerwonych ślepiach, nie mógł wytrzymać. Myśli kłębiły się w jego głowie. Nigdy nie chciał pokazywać słabości, czuł się wtedy bezsilny, jak dziecko. Zawsze wydawało mu się, że musiał szybko dorosnąć, ale wewnątrz chciał być nieświadomy otaczającego świata i tego, co może go spotkać. Przekroczył drzwi klatki schodowej. Stopień po stopniu, im wyżej, tym mniej, chciał iść dalej. Spojrzał na drzwi do mieszkania, trzynaście - przeklęty numer. Włożył klucz w zamek, próbował przekręcić, jednak były otwarte. W domu unosił się zapach dymu papierosowego, potu i tanich perfum.

- Gdzie łąziłeś po nocy?! Pewnie znowu wdawałeś się w bójki z tymi twoimi okropnymi kolegami! - wykrzyczała na powitanie kobieta. Jej długie, potargane, zniszczone włosy upięła

połączoną klamrą z tyłu głowy, przez co odsłaniały liczne zmarszczki i sińce pod oczami. Całość dopełniał niestaranny makijaż, który stał się już w większości, zostawiając czarne ślady na powiekach.

- Zostaw mnie w spokoju, nikogo nie biłem - odrzekł poirytowany.

- Nie odzywaj się tak do mnie! - matka jeszcze raz spojrzała na niego karcąco i wróciła do swoich zajęć. Weles mógł w spokoju zdjąć buty i udać się do swojego pokoju. Jego sypialnia wyglądała bardzo obskurnie. Pożółkłe ściany, meble poobklejane niezidentyfikowanymi nalepkami oraz wszechobecny bałagan nie wyglądały jak miejsce zamieszkania przeciętnego nastolatka. Ale chłopakowi zdawało się to nie przeszkadzać. Zdjął ubrania, które oczywiście rzucił na podłogę i padł wyczerpany na niepościelone łóżko.

Szare chmury na porannym niebie zwiastowały deszcz i kolejny monotony dzień. Jesienne, chłodne powietrze uderzało każdego, kto postanowił opuścić dzisiaj ciepłe łóżko. Z każdym krokiem coraz bardziej żałował wyjścia z domu. Szkoła - niby obowiązek, ale nie widział siebie jako wykształconego człowieka sukcesu.

- Po co to wszystko? - pomyślał. Szedł, napawając się uczuciem beznadziei.

Zamyślony spojrzał na budynek tej cudownej placówki, nie miał ochoty wchodzić do środka.

- Hej - powitał go jak zawsze wesoły głos i promienny uśmiech Żywii, przerywając tym samym jego zadumę. Ona to dopiero nie miała łatwo, mieszkanie w domu dziecka to nic przyjemnego, ale pomimo tego faktu oraz jakże okropnego dnia wyglądała na przeszczęśliwą.

- Cześć - odpowiedział bez entuzjazmu Weles.

Doskonale wiedział, że wczoraj zranił przyjaciółkę, lecz bał się pokazać uczucia i przeprosić. Pomyślał o duchu, którego zobaczył, nie chciał skończyć jak on, zjawa na pewno miała na koncie wiele niewybaczonych grzechów. Zebrał się więc w sobie i finalnie wykrztusił.

- Przepraszam. Wiem, że zachowałem się jak egoista, doceniam twoją pomoc i te wszystkie miłe gesty. Dziękuję, że mnie wtedy nie zostawiłaś - powiedział widocznie skruszony.

- Nie ma za co- odrzekła z uśmiechem Żywia.

Po wejściu do szkoły znowu się rozdzielili, Weles już w lepszym humorze przemierzał korytarz. Nagle spostrzegł swojego kolegę Sebastiana wraz z grupką znajomych wyłudającego pieniądze od jakiegoś przestraszonego pierwszoklasisty. W głębi duszy nie żywił do niego sympatii. Nie ma się co dziwić, był on zepsutą osobą, miał na chłopaka zły wpływ. Jakiś czas temu zaciągnął nieświadomego Welesa ze sobą, żeby, jak to określał, „wymierzyć sprawiedliwość”. Pobili chłopaka, który nie oddał Sebastianowi pieniędzy. Biedny próbował się tłumaczyć, ale napastnik nie miał litości. W tamtym momencie był taki upokorzony, Weles nie wyobrażał sobie, jak to jest, aż tak się ukorzyć i pomimo tego musieć znosić ciosy oprawcy. Sam stał jak słup soli i patrzył, bał się zareagować. Przez ten incydent ponieśli potem wiele konsekwencji. Nie ruszały go kary, ale rozczarowanie na twarzy Żywii dawało do myślenia. Nie wierzyła, że jej przyjaciel byłby zdolny do zadania bólu innej osobie, bo nie był, ale nie był zdolny też do postawienia się koledze. W jednej chwili poczuł, że dość ma życia polegającego

na staniu z boku i duszenia wszystkiego w sobie. Nie chciał już kraść i nie chciał już przed niczym uciekać. Nie chciał skończyć jak ten duch, tonąc w piekielnej otchłani, konając przed kaplicą. Rzucił się w stronę Sebastiana.

- Co ty wyprawiasz?!- krzyknął, odciągając go od ofiary.

- Uspokój się, o co ci chodzi?! - odparł zdenerwowany, zaczęła się między nimi szarpanina.

- Myślisz, że taki jesteś wielki?! Że możesz gnębić innych?! No to się grubo mylisz! Za wszystko kiedyś odpowiesz! - Weles czuł się z siebie dumny, czuł się silny. Puścił chłopaka i odszedł. Przechodząc obok okna, spostrzegł, jak słońce wychodzi z za chmur.